

Tadeusz Petrykowski
Red. Literacka

341
Data: 29.III.1981 r.
Godz.: 16.05 - 17.30

PROBLEMY WIEKU BALZAKOWSKIEGO

Teatrowi toruńskiemu można prawie gratulować. Piszę - prawie -
bowiem gdyby prasową premierę sztuki Fernanda Crommelyncka

"Anioł i czart" przesunął na trochę później, mianowicie z 27x
lutego na 8 marca, byłoby to wydarzenie z dedykacją.

O czym bowiem jest mowa w owej tragifarsie flamandzkiego
z aury jego sztuk, a francuskiego z pochodzenia autora? Nade
wszystko o duszach kobiecych. Oto Leona, 30-letnia niewierna
małżonka niepozornego człowieka, wdowiejąca na naszych oczach.
Człowieczek ów za życia głównie "chrapał snem stupiętrowym"
u jej boku, co jak wiadomo źle wpływa na szczęście małżeńskie
i narusza status podstawowej komórki społecznej. Ją więc, jej
serce ogarnia "pustynia miłości", Znieważona dusza Leny wraz
z łonem szukać będzie środków zaradczych, Spektakl toruński
pozwala się domyśleć, że w owych poszukiwaniach sprawa odmiennosci
płci nie jest warunkiem niezbędnym. Biedaczka nie znajdzie jednak
"szczęścia godnego swej wyobraźni/ⁿⁱ i wszystkie drzwi zamykać się
będą przed tą egotystką - cytuję według programu - zaś przed jej
rywalką również 30-letnią "ufną, uległą i xprostą Julią ... cały
świat stoi otworem. ~~Być może~~

Będzie /owa Julia/ - jeszcze bronić swojej przeszłości, będzie nawet wzywać pomocy z zaświatów, ale szybko skapituluje i z okrzykiem: "Jakimi tchórzami są zmarli" rzuci się w objęcia kochanka*.

To był znów cytat.

Do francuskiej, choćby zaprawionej z flamandzka znajomości psychiki kobiet zwłaszcza 30-letnich, mam od czasu przeczytania powieści Honore de Balzaca zaufanie głębokie i to przekonanie dzieli ze mną niewątpliwie co najmniej tłumacz sztuki jak i teatr toruński. A ponieważ jesteśmy Francuzami północy, Polki niewątpliwie także Francuzkami północy, trafność repertuarowego wyboru jest więc niewątpliwa. Zwłaszcza teraz, kiedy na temat pustyni na półkach sklepowych, to jest na temat pustyni miłości, najintensywniej i na co dzień myślą nasze panie. Te owdowiałe zaś - ślubne czy nieślubne - zastanawiają się chyba najgłębiej, czy lepsza jest droga świętości i postawa wiernej strażniczki nieboszczykowego mitu, czy - skok w objęcia nowego kochanka, w myśl ludowej naszej pieśni "nie ma to jak we dwum". Są to problemy, które - przypuszczam, że z najgłębszym przekonaniem o ich pilnej społecznej potrzebie - dedykuje pięknej połowie widowni teatr toruński. Przy okazji pewne zabiegi realizatorskie - jak wspomniano - sugerują

możliwość również damsko-damskich poszukiwań miłosnych, praktykowanych na wyspie Lesbos, co wzbogaca paletę doznań, osądając poszukiwania kulturowe w helleńskiej naszej prakolebce. I tak jesteśmy - na pół metaforycznie - w domu, ściśle biorąc w domu pana DOM, które to nazwisko kojarzy się z napisami na nagrobkach czy tablicach fundacyjnych kościołów brzmiącymi "Deo Optimo Maximo" - Bogu Najlepszem Najwyższemu. Bowiem ubóstwiony zostanie ów - nie ukazujący się na scenie - nieboszczyk pan DOM, ubóstwiony tak dalece, że w przekonaniu mieszkańców sąsiedztwa rankiem trzeciego dnia zmartwychwstanie, co będzie oczywiście legendą. Dowcipu tu zatem co niemiara, choć w utworze - by zacytować znów essay tłumacza z programu - "drastyczny humor i kpina nie przesłaniają ją autentycznej wibracji serca". Określenie: "wibracja serca" potraktowałem także metaforycznie.

Niestety, nasz męski światek, reprezentowany przez trzech pretendentów do cielesnej szczodrobliwości pani Leny oraz jednego przedstawiciela władzy nie prezentuje się najokazalej. Trzeba nam przeto zadowolić się wyjaśnieniem, iż "operowanie stereotypowymi postaciami burmistrza i innych małomiasteczkowych figurek" jest po prostu" ... wdzięcznym i nieodzownym tłem dla podkreślenia metaforycznego sensu tego utworu".

Poczułem się więc metaforycznie "wdzięcznym i nieodzownym
ciem". Nie, żebym chciał prostacko utożsamiać się z samym
burmistrzem, bądź nawet nauczycielem czy innym panem Dezyderym.
Jeśli - to co najwyżej z włóczęgą, którego na chwilę wypuszczono
z więzienia tzw. powszedniej rzeczywistości i wpuszczono do
świątyni Melpomeny, w krainę teatralnej dziwności. W sztuce
włóczęga ten upija się i niedość dokładnie wywiązuje się ze zleco-
nej pracy, przez co staje się mimowiednie jednym z współtwórców
narodzin legendy o zmartwychwstałym nieboszczyku. Pierwsza część
jego losu stała się moim udziałem: po wchłonięciu dwuaktowego
haustu owej sztuki poczułem się raczej niezdolny do wywiązania się
ze zleczonej pracy, czyli ze złożenia bliźnim sprawozdania, zrecenzo-
wania owego spektaklu. Czy stanę się współsprawcą legendy wokół
tego wydarzenia? W roztargnieniu oklaskiwałem je jakoś niemrawo,
ot, tak, jak większość widzów wokół mnie.

I jeśli mam już być zupełnie szczery - to nawet było mi tak
jakoś - nudnawo. Jakoś mi ta ukazana na scenie prowincjonalna
mito - czy nimfomania zalatywała zapaszkiem zatęchłym. I myślałem
- niewątpliwie prostacko - że choćby nawet scenograf - w toruń-
skim przedstawieniu Józef Wilkoń - więcej jeszcze, niż to uczynił

- estetyzował, symbolizował i metaforyzował, węże kładł na drzewo żywota, a kobiecymi biustami spinał opony kotar, to i tak ów powiew cudzoziemskiego światka mniej będzie zalatywał woniami anielskimi czy czartowskimi, bardziej zaś czyścicową wonią. Może - podkołdernikiem złośliwym? Ostatecznie - podkołderne tu zmetaforyzowano problemy ...

A że to nudne? A któż powiedział, że teatr nie może nudzić? Teatr toruński oscyluje w tym kierunku dość konsekwentnie, któż ośmielił się mieć coś przeciw konsekwencji? Widz w jego rachubach zapewne nie jest pozycją najbardziej liczącą się, może ideałem jego jest teatr bez widza? I ja nie mogę się na to obruszać, nie mogę kierownictwu tego teatru dedykować mowy Cyncerona: "Jak długo jeszcze będziesz, Katylinie, nadużywał naszej cierpliwości..." Ani pan dyrektor Okopiński nie Katylinie, do żadnych Wolsków się nie wybiera, chyba na gościnne reżyserie do krajów zaprzyjaźnionych, ani ja nie Cyncero, paskudny zresztą człowieczek, choć retor znakomity. I Cyncero przemawiał w imieniu ojczyzny, mnie mandatu nawet moja dzielnica żadnego nie dała, z tzw. widzem "w ogóle" utożsamiać się nie mogę i nie chcę. Widzę i opisuję - na własny rachunek.

To zaś, co widziałem, potwierdziło moje przeświadczenie, że tragifarsa nie jest tym rodzajem, w którym niewątpliwy talent reżyserski p. Teresy Żukowskiej wypowiedziałby się w pełni. A co o rolach, o aktorstwie?

Pisano o sztukach Crommelyncka, że "role w tych sztukach są ze szczerego złota, ale muszą być wybite w jego własnej mennicy". Choć przed wielu laty zdarzyło mi się oglądać w Poznaniu inną sztukę tegoż autora, nie wyniosłem z niej również wspomnienia owego cennego kruszcu. Pamiętam, że nudziłem się setnie.

Czy wolno mi wysnuwać wniosek, że również tam i wtedy role nie pochodziły z mennicy Crommelyncka?

Zamiast podsumowania zacytuję na zakończenie nie starożytnego Cyncerona, lecz współczesnego krytyka, Romana Szydłowskiego, z którego przesłaniem, opublikowanym na łamach "Teatru" zgadzam się całkowicie. Oto ono: "... repertuar toruńskiej sceny jest bardzo daleki od tego, co się w tej chwili w kraju dzieje. Być może, iż kierownictwo teatru pojmuje zadania tej sceny inaczej, wyznaczając jej raczej funkcję artystyczno-rozrywkową. Sądzę jednak, że owo zobojętnienie na sprawy naszego kraju, którymi żyje dziś całe społeczeństwo, musi odbić się ujemnie na zainteresowaniu teatrem wśród widzów i/ może pozostać bez wpływu na frekwencję".